

2-1923
[1-12]

98
Cena egz. 120.000 mk.

093

MYŚL WOLNA

Organ Stowarzyszenia Wolnomyślicieli Polskich

№ 12 (20).

Grudzień 1923 r.

Rok II.

*„Kto nie czyni jak myśli,
myśli w sposób niedoskonały”.*

M. Guyau: Moralność bez zobowiązań i sankcji.

TREŚĆ: J. Baudouin de Courtenay: Dobrodziejstwa celibatu czyli beżeństwa księży. M. Lubecki: Człowiek a przyroda. J. Landau: Polsko-Katolicki Kościół w Ameryce. *Dyskusja*. D. Jabłoński: W sprawie ateizmu i wolnomyślicielstwa. Z. Tonecki. Ateizm czy „Himmelfahrt”. A. Górski: O świętach i świętowaniu. Kącik polemiczny. Ze spraw bieżących. Odpowiedzi redakcji.

Dobrodziejstwa celibatu czyli beżeństwa księży.

Bawiąc w Krakowie około r. 1875, odwiedzałem między innymi także dawny zakład dla umysłowo chorych na ulicy Szpitalnej. Oprowadzał mię po nim doktor Henryk Jordan, późniejszy profesor chorób dzieciennych w uniwersytecie Jagiellońskim, założyciel słynnego parku Jordana i wielce zasłużony działacz społeczny. Wówczas odbywał on praktykę psychiatryczną. Dla usprawiedliwienia mych odwiedzin traktował mię wobec służby szpitalnej i wobec chorych jak kolegę po fachu, a dla nadania sobie i mnie większej powagi rozmawiał ze mną po niemiecku.

Obeszliśmy wszystkie działy szpitala, tak, że mogłem obserwować najrozmaitsze odmiany chorób umysłowych: i matolków czyli kretynów, i idjotów, i melancholików, i paralityków postępowych, i paranoików, i opanowanych przez wyobrażenia natrętne (*idées fixes*), i megalomanów, i furjatów i t. d.

Siedziała tam między innymi Barbara Ubryk, którą jej dawne koleżanki, czcigodne mateczki i siostrzyczki zakonne, trzymały przez lat dwadzieścia zamurowaną w podziemiu, skazując ją na bezwzględną samotność i każąc jej oddychać wyziewami z własnych odchodów. Nic dziwnego, że po takiej dwu-

Warszawskie
Towarzystwo Filozoficzne

<http://rcin.org.pl>

dziesięcioletniej dyjecie całkiem zidjociała, zapomniała mowy ludzkiej i wyglądała jak żółta figura woskowa z głębokimi fałdami na twarzy, bez określonego wieku. Zbliżywszy się do niej, dr. Jordan zwrócił się ku mnie w tonie uroczystym: „Das ist diese berühmte Barbara Ubryk...” A owa sławna Barbara, siedząc bez ruchu na fotelu, patrzyła na nas beźmyślnie i nie przestawała trząść gwałtownie głową i rękami...

Widziałem też młodą bardzo ładną dziewczynę furjatkę, która zabiła ojca i pokrajała go na kawałki, ponieważ nie pozwalała jej wychodzić za mąż za ukochanego. Gdyby nie opinia rzeczoznawców psychiatrów, byłaby zawisła na szubienicy. Dla braku miejsca trzymano ją na sali ogólnej, ale, jako furjatkę, z założonemi w tył i skrepowanemi rękami.

Jakiś notariusz, chory na paraliż postępowy i doznający stale dotkliwych bólów głowy, na której bez przerwy trzymał mokrą chustkę, przywitał mię bardzo uprzejmie, rozmawiał całkiem rozsądnie, skarżył się na gwałt nad nim dokonany i prosił, ażebym się za nim ujął i zawiadomił władze o tem nadużyciu. „Przecież w Austrii mamy konstytucję i nietykalność osobistą...” Dr. Jordan obawiał się, ażebym nie uwierzył temu pacjentowi i zagadnął go o Alpach i Karpatach. „A tak, połączę Alpy i Karpaty mostem, zbuduję też most przez morze Śródziemne, a Saharę morzem zaleję”. Próżne były obawy d-ra Jordana.

Nareszcie doszliśmy do księdza z jakiejś parafji górskiej, który, w związku z **delirium tremens** w najwyższym stopniu, dostał obłądę swoistej megalomanji. Dr. Jordan przywitał go i, zamieniwszy kilka zdań obojętnych, zapytał: „a kiedyż to ksiądz zostaniesz papieżem?” — „A tak, zostanę papieżem, będę **imperator totius mundi**” (cesarzem całego świata) „i...” — tutaj oczy mu się roziskrzyły, twarz zajaśniała, podniósł do góry rękę i skierował ku nam palec wskazujący — „i jeszcze się ożenie”.

Po tym wybuchu i wypowiedzeniu swych najgorętszych pragnień ksiądz zaczął ryczeć i wpadać w furję. Dla okiełznania go dr. Jordan krzyknął groźnie: „księżę, kaftan!” I to momentalnie poskutkowało.

Ożenienie się było dla tej ofiary celibatu czemściś, stojącym nierównie wyżej od papiestwa i od panowania nad całym światem. Przypomina mi to anegdotę, którą Sienkiewicz wcielił do jednej ze swych powieści, o czynowniku rosyjskim megalomanię, który się uważał za coś wyższego od samego Boga, bo za przewodniczącego Trójcy Świętej (**predsiedatiel swiatoj Troicy**).

Ksiądz ten brał celibat na serjo i nie trzymał „kucharki”, uwiecznionej między innymi w „wierszu makaronicznym” Jana

Kochanowskiego. Natomiast, dla zalania robaka, dla otumanienia myśli, marzącej bezustannie o owocu zakazanym, zaczął pić, pić coraz więcej, aż nareszcie doszedł do **delirium tremens** i do obłądu furjactwa.

Takich jak on jest dość znaczna liczba. W swych wędrówkach dyjalektologicznych po krajach południowo-słowiańskich, po Litwie i po innych krajach spotykałem niekiedy księży, skądinąd znacznych i bez zarzutu, którzy, skazani na samotność i dreczeni myślą o niemożliwości stworzenia legalnego ogniska rodzinnego, albo upijają się na zabój, albo też oddają się namiętnie grze w karty. Parafjanie patrzą na nich z politowaniem, ale bez szacunku.

Głów kościoła i innych dostojników nic nie obchodzi te męczarnie i upadki moralne ofiar, od czasów Grzegorza VII-go (r. 1074) skazanych na przymusowe beżeństwo. Patrzą oni na duchowieństwo jak na armję „karną i zorganizowaną” (porównaj „myśl wolną karną i zorganizowaną” p. J. Hempla), jak na oderwane od świeckiego społeczeństwa potulne narzędzie w walce z władzami świeckimi i w uganianiu się za ujarzmieniem dusz ludzkich. Podobnie zwykłej armji, przeznaczonej również do ujarzmięcia ludzi, tylko że w innym kierunku, utrudniało się i może i dziś jeszcze utrudnia się wstępowanie w regularne związki małżeńskie. Znane są też zakazy zawierania małżeństw, praktykowane w stosunku do młodzieży uniwersyteckiej, uważanej za „obywateli akademickich”, tworzących osobny cech, na podobieństwo zgromadzeń zakonnych. Dla tych zastępów „karnych i zorganizowanych” prostytutka ma być erzacem małżeństwa.

Wielka zachodzi różnica pomiędzy celibatem dobrowolnym a celibatem przymusowym. Spotykałem wypadki celibatu dobrowolnego u włościan litewskich. Z kilku braci, mających niewielką posiadłość, tylko jeden się zenił, inni zaś, dla nie rozdrabniania majątku, skazywali się na beżeństwo, którego też faktycznie przestrzegali. Były to objawy imponującego panowania nad sobą. Tacy dozgonni celibatarjusze mieli zapewnione dożywocie i żyli w domu brata żonatego jako jego bracia i stryjowie jego dzieci.

Między księżmi tylko niewielka ilość nadaje się do faktycznego beżeństwa. Znakomita większość albo została pchnięta w tym kierunku przez ambitnych rodziców, chcących zaskarbić sobie łaski nieba przez ofiarowanie mu jednego ze swych potomków, albo też wybrała ten zawód dla chleba, a także dla zaszczytów, oczekujących jednostki zdolniejszej i energiczniejszej. Między tymi karjerowiczami są cynicy, załatwiający się praktycznie z kwestją celibatu w sposób ogólnie przyjęty. Dla jednostek zaś szlachetniejszych i patrzących na życie poważnie

może się to stać powodem zwichnięcia życia i unieszczęśliwienia, może się stać prawdziwą tragedją.

Ten rozdźwięk między nakazem a możliwością jego wykonywania, ma za skutek albo rozpacz skazańców, albo też obłudę i cyniczne naruszanie prawa rzekomo obowiązującego. A to znowu prowadzi do pogardliwego traktowania księży przez ludność, do ich ośmieszania, do powstawania częścią prawdziwych a częścią zmyślonych opowiadań i anegdot.

Przecież znane są złośliwe opowieści o rozpuszcie nawet mnichów, poddanych ostrej regule klasztornej, o zbiorowych romansach między franciszkanami i franciszkankami, między reformatami i reformatkami..., o kościołach dziecięcych, znajdujących w podziemiach klasztornych i t. p. Chociażby tylko tyśiączna część tych opowiadań zgadzała się z prawdą, a reszta była nikczemnym oszczerstwem, to i owa jednytysięczna wystarczałaby do zdyskredytowania całej instytucji. Co więcej, gdyby nawet w tych wszystkich anegdotach i złośliwych opowiadaniach nie było ani żdźbła prawdy, to jednak możność powstawania i krążenia po świecie tej wesołej a zarazem tak smutnej literatury kazałaby nam powątpiewać o celowości instytutu zarówno stadowego mnichostwa, jako też obowiązkowego beżeństwa księży świeckich.

W każdym razie celibat czyli beżeństwo księży związane jest z szeregami zgorzenia i skandalicznych opowieści o księżach i księżych gospodyniach, o tych rozmaitych „kuzynkach”, „siostrzenicach” i innych tym podobnych podejrzanych osobistościach płci żeńskiej.

Przypominam sobie z wczesnego dzieciństwa wrażenia niezbyt budujące. Mieszkałem z rodzicami w Porębie, wsi kościelnej niedaleko od Ostrowia i Pułtuska, w dzisiejszej ziemi Łomżyńskiej. Otóż w tej wsi był proboszcz w starszym już wieku, na którego w swej dziecięcej naiwności patrzyłem z wielką czcią, bo zdawało mi się, że głowę jego otacza aureola na podobieństwo promieni, okalających na obrazkach głowy świętych płci obojej. Prawdopodobnie memu proboszczowi kurzyło się z czupryny. Otóż o tym czczonym przeze mnie księdzu opowiadano sobie poufnie, ale tak, że opowiadania te objęły się o moje uszy, iż miał on kolejno po sobie dwie gospodynie: najprzód matkę, a potem córkę, która była też jego własną córką. Prawdopodobnie była to potwarz czy też oszczerstwo; ale już sama możność podobnej potwarzy czy też oszczerstwa przemawia chyba jaskrawo przeciw celibatowi. Ja byłem wówczas jeszcze na tyle naiwny, że w tej kolejności księżych gospodyń nie widziałem nic zdrożnego.

Zresztą anegdoty gorszące krążą nietylko o księżach katolickich. Lud prawdoślawny opowiada sprosne anegdoty o swych

popach, nawet żonaty, a cóż dopiero o wdowcach, skazanych na przymusowy celibat, o tak zwanych „popach razstrigach”. Stосуje on do swych kapłanów wyrażenie „żerebiaczja poroda” (ród ogierowy).) ony

Sami księża, zmuszeni do udawania bezzennych, a faktycznie uprawiający „kryptogamję” (małżeństwo skryte), widzą całą ohydę tej dwulicowości i wstydzą się. Niektórzy z nich traktują z pogardą swe Boga ducha winne „nałożnice”. Spotykałem księży, którzy swym kucharkom, pełniącym zarazem funkcje „konkubin”, nie dawali dobrego słowa, nie wołali ich po imieniu, ale tylko przez „ty”: „hej, ty, przynieś to lub owo”.

Nic też dziwnego, że wśród księży uświadomionych i szanujących godność ludzką zarówno własną, jako też swych współwinowajczyń, wzmagą się ruch przeciw przymusowemu celibatowi. Czas doprawdy rzucić to jarzmo, wtłoczone na ick karki przez samolubnych papieży, walczących z władzą świecką o doczesne panowanie nad światem.

Księża chorwaccy załatwili się z tem od dość dawna w sposób bardzo prosty. Wprawdzie formalnie nie żenią się, ale za to biorą sobie na współtowarzyszki osoby inteligentne, z pewnem wykształceniem, grające np. na fortepianie, mają z niemi dzieci i wcale się z tem nie kryją.

Brat znakomitego sławisty, nieboszczyka Jagicia, proboszcz w jednej z parafji chorwackich, przedstawiał profesorowi Leskienowi taką gospodynię jako swoją żonę, a biegające po podwórzu dzieci jako własne dzieci.

Niestety, inni księża katoliccy nie mają odwagi naśladować księży chorwackich. Muszą się zadowalniać udawaniem, obłudą, szerzeniem demoralizacji i narażaniem się na to, że stają się pośmiewiskiem i przedmiotem tłustych anegdot.

Gdybym był fanatykiem bezwyznaniowości, powinienbym się cieszyć z tego upadku i poniżenia katolicyzmu. Na szczęście, nie jestem wcale fanatykiem i nie dążę wcale do narzucania przemocą lub podstępem bezwyznaniowości ludziom wierzącym. Mnie chodzi jedynie o szczęście i zadowolenie jednostek ludzkich, zarówno wierzących, jako też i niewierzących. a obok tego chodzi mi o poziom moralny wogóle. Pragnę więc, ażeby katolicy wierzący mogli szanować swych pasterzy i kierowników duchownych.

Dlatego też mogę tylko przyklasnąć usiłowaniom księży, pragnących otrząsnąć się z ohydy, związanej z obowiązkiem beżeństwem.

J. Baudouin de Courtenay.

Człowiek a przyroda.

II.

Przyroda, o której mówiliśmy poprzednio, nie jest przyrodą w popularnem znaczeniu, ale w o wiele głębszem. Zazwyczaj, mówiąc o przyrodzie, ma się na myśli ten zespół zjawisk, który powstał bez udziału pracy ludzkiej. Znajdujemy się zatem „na łonie przyrody”, opuściwszy miasto a idąc przez lasy, łąki, wśród skał, strumieni i t. p. Jasne, że takie ujęcie jest b. nieściśle, gdyż owe łąki i lasy niekoniecznie są dziewiczymi, — tylko nieraz przez człowieka zasianymi, mimo to również zalicza się je „do przyrody”. — Dla nas, którzy stwierdziliśmy, że człowiek jest częścią przyrody, tego rodzaju ujęcie jest naiwne. Ta przyroda, mniej lub więcej dzika, jest także jedynie częścią owej przyrody powszechnej, stanowiącej prawa, jakim wszystko ulega.

Przyroda w znaczeniu ogólnym nie jest wcale przyrodą widzialną; ona nie stanowi jako całość przedmiotu naszych zmysłów. — Jakkolwiek daleko mogłyby sięgać nasze teleskopy, zawsze poza promieniem naszego widzenia znajdują się przestrzenie dla naszego dostrzegania niedostępne. Naodwrot zbyte drobne zjawiska, które przecież stanowią składowe otaczających nas rzeczy, również zauważonemi być nie mogą. — Dalej zmysły nasze wskutek swojej budowy nie ujmują całego szeregu działających wokół nas zjawisk. Nie odczuwa nasz organizm przyciągania magnesu, nie reaguje na obecność elektryczności atmosferycznej, nie widzimy promieni ultrafioletowych, które wywołują zmiany na płycie fotograficznej, nie słyszymy tonów zbyt wysokich i t. d. Wiele zjawisk, na które pozostajemy obojętni, nie chybia wpływu na zwierzęta. — Można śmiało twierdzić, że ilość zjawisk niedostrzegalnych przewyższa znacznie dostrzegalne. — Zmysły nasze, jak co do jakości, tak i co do ilości, są wytworem olbrzymiego procesu rozwojowego, który nigdy nie został ostatecznie zamknięty. Zwierzęta niższe nie posiadają wcale wzroku, lub też oko ich jest o wiele gorzej rozwinięte. Wobec tego nietrudno nam będzie pomyśleć sobie istoty posiadające więcej zmysłów, niż my, dla których zatem świat będzie się przedstawiał zgoła inaczej. — Nie mamy więc prawa utrzymywać, że przyroda jest taką, jaką ją spostrzegamy. Naodwrot, żadne zmysły nie mogłyby jej wyczerpać, ona jest w istocie swojej niewidzialną.

Ta niewidzialna, wszechogarniająca przyroda nie może być pojmowana jako maszyna. Wprawdzie dla zbadania poszczególnych zjawisk sprowadzanie ich do ruchów mechanicznych okazuje się bardzo pożyteczne, nie uprawnia to nas atoli

do żadnych wniosków o nieskończonej całości. — Maszyna jest zawsze tworem myślącego organizmu, ona jest przedłużeniem lub utrwaleniem jego działania, jak dźwignia jest przedłużeniem ramienia a młyn wodny utrwaleniem obrotu koła poruszanego zrazu rękami. — Stąd pojmowanie świata jako maszyny jest taksamo dowolne, jak pojmowanie go na wzór osobnika żywego. Niema zasadniczej różnicy między antropomorfizmem a maszynomorfizmem. — Sama istota przyrody pozostaje dla nas niepojętą i wyrażalną tylko kategorjami pojęciowemi, jak nieskończoność, wieczność, wszechpotęga... Istota jej o tyle dopiero udostępniłaby się dla nas, o ile sami stalibyśmy się nieskończonymi, a więc doszli do połączenia z nią.

Stanowisko to podkreśla naszą niewiedzę a nie beztreściwość przyrody, która jest twórczynią wszystkiego. Znanie nam prawa przyrody nie poucza nas jeszcze o jej prawdziwej głębi. Jakkolwiek obejmują one niezliczone ilości zjawisk, tak, że wydają się nam bezwzględniemi, jednak i one są wytworem pewnych warunków i w nich tylko mają swe zastosowanie. — Dlatego słusność ma Bontroux („Pojęcie prawa natury”), twierdząc, że prawa przyrody podobnie jak jej zjawiska, muszą mieć czas swego powstania, rozwoju i upadku, że nawzajem ograniczają się i prowadzą rodzaj walki o byt. Pojęcie praw przyrody tworzyła ludzkość na wzór praw społecznych. W miarę swego rozwoju społeczność eliminując możliwość samowoli kierowniczych jednostek, ustalała swe prawa jako wieczne. Dziś jednak, gdy coraz wyraźniej rodzi się ideał organizacji bez władztwa człowieka nad człowiekiem, bez kodeksów i więzień, łatwiej nam i przyrodę pojmować jako wyzwoloną z wszelkich pęt i ścieśnień. Wolność tę przypisujemy jej nie w znaczeniu dawnego kapryśnego i despotycznego Boga, który przeszedł do przeszłości, tak jak teraz zaczyna przechodzić pojęcie materialistycznej przyrody, będącej sumą kilku-set czy tysięcy niewzruszalnych praw, — a w znaczeniu otchłannej twórczości, będącej zarazem najdoskonalszą jednością wszechrzeczy.

Stosunek nasz do takiej przyrody nie będzie już suchym, czysto poznawczym, ale nosić musi żywy odcień uczuciowy. Już sama przyroda widzialna przez siebie znamienne piękno budzi w nas uczucie wzniosłości. Morze, świetliste rozlewy zorzy, niebios a gwieździste, lub choćby wstrząsający zygzak błyskawicy prowadzą myśl naszą w bezkresność. — Przyroda jest naszą macierzą, od której pochodzimy a raczej, w której łonie poruszamy się — z nią zrośnięci — i która darzy nas nieustannie. Przyroda nie jest niczem obcem dla nas, lecz mimo swej niezmienności, czemś krewnem nam i bardzo bliskiem. Przyrody nie możemy pojmować na wzór jakiegokolwiek osobnika, lecz nie jest ona i martwą, tak jak „martwym” w naszych oczach

jest poszczególny kamień lub sprzęt. Nasze życie duchowe pozostaje również w związku z całą przyrodą i coś z tego, w nieporównanie mocniejszym stopniu i w niej się znajduje... Tak pojęta przyroda przybliży się zupełnie wyraźnie do idei Boga żyjącej w sercu wierzących.

Znamienne, że wychodząc z założeń nic wspólnego z religią nie mających, doszliśmy jednak ściśle rozumową drogą do wyniku, ku któremu powszechnie, choć zazwyczaj instynktownie, kieruje się dusza ludzka. Naturalnie nasza przyroda różni się znacznie od Boga tradycyjnego okazującego cechy ludzkie i to nie pierwszej jakości, pełnego przeciwieństw... W każdym razie jest ona Bóstwem w najszlachetniejszym znaczeniu i nie powinniśmy wstydzić się zajęcia wobec niej religijnego stanowiska, bo to jest najzupełniej uzasadnione, choćby wywoływało zdziwienie, lekceważenie, lub szyderstwa tych, którzy chcą bronić przeciętności — starej lub trochę nowszej. Szlaki ducha naszego nie staną się przez to z pewnością więcej jałowymi...

Nie zamykamy przytem oczu w sposób sentymentalny na sprzeczność między życzeniami a rzeczywistością, między tem, co być powinno, a tem, co jest! Przyczyną zła jest przyroda tak samo, jak i dobra; w tem tkwi tragiczność świata. — Zastrzec jednak należy, iż odrzucenie wszelkiej boskości i uważanie wszelkiej przyrody za martwą maszynę najzupełniej nie przybliża nas do rozwiązania zagadnienia zła w świecie. — Zło przecież jest w każdym razie nieprzystosowaniem się do warunków; dręczące pytanie, skąd się ono wzięło, nie zależy wcale od tego, czy pojmujemy owe warunki jako czysto fizyczne, czy też duchowe.

Nieszczęścia w takim nadmiarze spotykane wystarczają, by obalić koncepcję Boga osobowego, wyodrębnionego od świata, nie mogą natomiast naruszać uznania Boga-Przyrody, który jest wszystkim a więc musi obejmować i zło. — Naszym moralnym wymaganiem atoli jest, aby zło było ograniczonym w swoim działaniu i trwaniu i w ten sposób owa tragiczna sprzeczność pozostaje na powierzchni zjawiskowej, nie naruszając istoty przyrody.

*
*

Człowiek starożytny umiał odczuwać głęboko przyrodę widzialną. To odczucie zwolna słabło, w czem przodowali światu hebreowie. W poszukiwaniu ostatecznej jedności stworzyli Boga, mającego osobnicze cechy duchowe, ale pozbawionego cech materialnych, świata przeciwstawionego. Stworzyli mściwego samotnika, obcego radości życia. Wobec jego zawiści

część zjawisk przyrodniczych, jak i samoistna twórczość artystyczna stały się grzechem. Mimo wszystko — Jahwe nie wyżył się jeszcze starych cech przyrodniczych. Przecież on był Wiekuistym Cebaoth, t. j. prowadzącym zastępy niebieskie, był ogniem i wichrem i burzą. (5 Mojż. 4, 24; 2 Sam. 22, 11; Hiob 38, 28—30).

Chrześcijaństwo atoli przejąwszy od judejczyków Boga zaświatowego pogłębiło jeszcze przepaść między nim a światem, świat jest stworzony przez odwiecznego ducha „z niczego”, jest ograniczony i zły. Przyroda jest pewną określoną całością istniejącą z woli bożej, lecz poza Bogiem. Jest ona czemś marnem i bezdusznem, jej piękno to tylko czartowska pokusa... Chrześcijanin średniowiecza przyrodą gardzi. „Natura” w człowieku jest antytezą „Łaski”. Co naturalne, to nieczyste. Niewinne dziecko póki nie będzie polane wodą chrztu, podlega potępieniu.

Równocześnie chrześcijaństwo doprowadziło do szczytu system etyki interesu osobistego w tem lub tamtem życiu, etyki kupieckiej. Ono wyrwało z dusz naiwnych pogan ich religijność, wykazując dowodnie, że słońce będzie zysłać nam swoje światło i ciepło a ziemia dawać plony, choćbyśmy nie składali im ofiar i nie modlili się do nich. Wobec tego — według chrześcijaństwa—wszelka cześć przyrody i odruchowa wdzięczność dla niej muszą zniknąć. Przyroda jest tylko materiałem do wykorzystania a o bezinteresownem, serdecznem spojrzeniu na nią nawet mowy niema. — I stało się tak, jak chciało chrześcijaństwo. — Lud wierzy w Boga w niebie, ściślej — daleko nad niebem widzialnem a nie dostrzega go w słońcu i gwiazdach i w najwspanialszych chociażby zjawiskach przyrody, nie dostrzega go w glebie i w drzewie i w swojej chacie i w swoim pługu. Nie bez słuszności nazywali Rzymianie chrześcijan bezbożnikami. Lud chrześcijański, jakkolwiek zalicza się do religii mającej pretensje do monopolu na Boga, — stał się w praktyce od boskości oddalonym, stał się bezbożnym. — I Boga też swego nie umie ujmować jako najwyższej wartości samej przez się. Ten Bóg jest kasjerem mającym wypłacać dobre uczynki, bo bez zapłaty nic się nie zrobi.

Znamienne, że tę samą metodę myślenia kontynuuje współczesny ateizm. — Wykazawszy dowodnie, że Bóg nie karze bluźnierców ani nie nagradza chwalców, uznają go za rzecz zbędną i odwracają się do niego plecami. — Tęsknota za wyzwoleniem od wszelkiego zła i przebóstwieniem wszystkiego jest dla nich oczywiście głupstwem. Przyroda pozostaje nadal materiałem do wyzysku. — Z dualistycznego zestawienia Boga i przyrody, po odrzuceniu pierwszego zachowali ją w tem samym zdegradowanym, zniekształconem ujęciu i stawiając ludz-

kość na miejsce Boga ogłosili jej wszechmoc a ujarzmienie przyrody.

A jednak — jak staraliśmy się wykazać—ich hasło: „nie-ma Boga” — przeczy właśnie sama przyroda w swoim dostojenstwie. Jest Bóg, bo ona jest Bogiem. Niegdyś na schyłku starożytnego świata zaczęto odróżniać „bogów niepewnych” t. j. duchowych od Bogów pewnych t. j. widzialnych. Takim pewnym bogiem — deus certus — było „słońce niewyciężone”, które każdy niedowiarek może oglądać na sklepieniu niebieskiem w jego przepychu i potędze. — Cóż, kiedy ci „bogowie pewni” byli w swoim działaniu ograniczeni i podlegli żelaznym prawom fizycznym... Dopiero cała przyroda nie będąc bogiem niepewnym, jak żydowski i chrześcijański, naodwrot—staje się Bogiem pewnym, równocześnie zaś w odróżnieniu od bóstw hellenizmu jest Bogiem najwyższym i jedynym.

Ona nie posiada wszakże jahwistycznej wyłączności. Będąc pełnią wszystkiego, pomieści w sobie jak Brahman indyjski cechy bóstw różnych kultów. — Do niej należy i promienna jasność dnia i spokojny pomrok nocy. Postacie marzeń sennych są taksamo jej tworem, jak i postrzeżenia naszych zmysłów.— Twórczość poety jest jej twórczością, jak prężność masy ognistej w łonie ziemi jej potęgą. Tam zacierają się różnice między tem, co my uważamy za świadome a tem, co uważamy za nieświadome. — Najpowszechniejszy, heraklitowy ruch każdej drobiny — w stosunku do drugich cząstek, jest równocześnie niewzruszonym, eleackim pokojem całości.

Zwrot do przyrody, — oto nasze hasło! — Nie żądamy za Rousseau'em przywrócenia stanu początkowego ludzkości jako „przyrodzonego”, właśnie dlatego, że nasza przyroda nie jest ani tylko przyrodą widzialną ani jakąś fazą pierwotną, wykluczającą postęp. — Zwrot do przyrody, to odrzucenie i urojeń religijnych i ateistycznej ciasnoty umysłu, to zwrot od formy do treści, do szczerých źródeł twórczości zewnątrz nas i wewnątrz nas!

Wyodrębnianie się od przyrody doprowadza do stawiania sobie jako celu płytkiego używania życia. Dopiero w harmonji z przyrodą odnajdujemy swoją własną istotę! — Przyroda nie jest naszą niewolnicą, ona jest dostojną panią. Panowanie jej wszakże jest z gruntu inne, niż władztwo królów ziemskich. Ona dla siebie nie żąda od nas ni dani ni chwały. — Ona sama darzy nas i służy nam nawet, lecz ze swojej szczodrości. Jasne, że możemy i musimy brać, co ona nam nastrecza, możemy rozporządzać tem i przetwarzać nasze warunki. — Jeśli jednak przyroda nam się oddaje, umiejmy i my się jej oddawać, umiejmy odnaleźć solidarność ze wszystkiemi istotami wszechświata — w niej i przez nią!

Marjan Tadeusz Lubecki.

SPROSTOWANIE.

W Nr. 11 (19) „M. W.” w artykule „Różnoraka psychologia modlitwy” wkradły się następujące błędy drukarskie:

na str. 12 wiersz 9 od dołu zamiast „8 września r. 1885” powinno być: 8 września 1855;

na str. 13 wiersz 1 od dołu zamiast „Przedłszy” powinno być: Przeszedłszy.

Polsko-Katolicki Kościół w Ameryce.

Nie wielu ludzi w Polsce wie o tem, że taki kościół istnieje. A jednak istnieje — i to już od dość dawna, bo od r. 1911. Jaki był początek jego powstania — dokładnie trudno określić, zdaje się jednak, że zaczęło się to od nieporozumień w łonie Kościoła Polsko-Narodowego Katolickiego w Ameryce, o którym pisaliśmy obszerniej w Nr. 5 (13) z maja r. b.

Ks. Hodur, jako kierownik kościoła Polsko-Narodowego, rządził i dziś jeszcze rządzi nim bardzo arbitralnie, nie znosząc żadnych sprzeciwów ani krytyk. W Polsce byłoby to może zupełnie na miejscu, bo myśmy już przyzwyczajeni do absolutyzmu w dziedzinie religji, ale w Ameryce to nie uchodzi, tamtejsi polacy zbyt już przejęli się poczuciem własnej godności i wolności ducha amerykańców, aby z niemą uległością znosić kaprysy swych biskupów, szczególnie, gdy zrzucenie jarzma rzymskiego dało im przedsmak radości i szczęścia z odzyskania niepodległości.

Tym, co podniósł bunt przeciwko biskupowi Hodurowi, był ks. Józef Zielonko, proboszcz parafji w Filadelfji. Przyłączyło się do niego jeszcze kilku niezadowolonych księży, którzy obrali go na biskupa nowego kościoła p. n. Polsko-Katolicki Kościół w listopadzie 1913 r. Święcenia biskupie otrzymał ks. Zielonko od biskupów staro-katolickich. Pierwszy synod nowego kościoła odbył się dopiero sześć lat później, w r. 1919 a w maju 1921 r. uzyskał od władz Stanu New-Jersey legalizację (charter).

Wyznanie wiary kościoła P. K. jest krótkie: uznaje biblię za słowo boże. To słowo, które zostało w całości objawione Jezusowi Chrystusowi i przekazane przez tegoż apostołom i pierwszym chrześcijanom, a przez nich oddane ludziom z pokolenia do pokolenia w piśmie świętym i w tradycji apostołskiej, — jest najwyższym autorytetem w sprawach religijnych.

Tyle co do strony pozytywnej. Strona negatywna jest obszerniejsza i zawiera się w 8-u punktach, a mianowicie: 1) znie-

sienie mszy łacińskiej i zastąpienie jej modlitwami w języku polskim; 2) zniesienie spowiedzi usznej i wprowadzenie natomiast aktu publicznej skruchy; 3) zniesienie przymusowego bezżeństwa (celibatu) księży; 4) zniesienie różańców i szkaplerzy; 5) odrzucenie doktryny papieskiej o czyśccu; 6) odrzucenie pretensji papieża do supremacji i nieomylności; 7) odrzucenie nauki papieskiej o odpustach; 8) przywrócenie pierwotnego obyczaju przyjmowania komunji pod dwiema postaciami chleba i wina.

Jak widzimy — niema tu nic nowego; typowy protestantyzm z uwielbieniem obydwuch testamentów, wolnym ich rozbiorem i odrzuceniem tego wszystkiego, co Rzym w ciągu długich stuleci wypracował, jako system najściślejszego ujarzmnienia ludzkości.

Kościół Narodowy ks. Hodura niczem się od kościoła ks. Zielonki pod tym względem nie różni; prawda, że ks. Hodur spóźnił się z reformami i wprowadził język polski do liturgji dopiero w grudniu 1914 r., a spowiedź ogólną i bezżeństwo księży — zaledwie w czerwcu 1921 r., podczas gdy ks. Zielonko — jeszcze w r. 1911.

Spór też między tymi dwoma kościołami, a właściwie — między dwoma biskupami, nie ma w tej chwili nic ideowego — jestto spór czysto osobisty. A prowadzą go obie strony prawdziwie po amerykańsku, t. zn. w prasie swojej, lub w listach otwartych nazywają się wzajemnie oszustami, łapichłopami, bolszewikami, złodziejami i t. d. Zupełnie, jak papież w Rzymie — i papież w Avignonie.

Zbyt mało znamy wewnętrzne sprawy tych dwóch kościołów polskich w Ameryce, abyśmy się odważyli osądzać, który z biskupów ma rację, mało nam zresztą na tem zależy; szkoda tylko, że dziś, gdy już różnicy zasadniczej między nimi niema, zażarte kłótnie trwają dalej, narażając na śmieszność samą sprawę reformacji.

Jeśli pomimo to piszemy o Polsko-Katolickim Kościele, to dlatego, że ostatnio ks. Zielonko widocznie przeżywa ciekawe przemiany wewnętrzne, które mogą kościół jego pchnąć na zupełnie nowe tory. Wyrazem tych przemian są dwie wydane przez niego broszurki: „Zmartwychwstanie i Wniebowstąpienie Jezusa w świetle prawdy”, oraz „Jak ludzkość szuka i czci Boga?”

W pierwszej z tych książeczek dowodzi ks. Zielonko, na podstawie umiejętnie zestawionych tekstów ewangelicznych, że opowiadania o zmartwychwstaniu i wniebowstąpieniu Jezusa są sprzeczne zarówno w samej swej treści, jak i w szczegółach. To naprowadza autora na myśl, że cała legenda o zmartwych-

wstaniu jest tylko symbolem powstania nauki Jezusa po jego śmierci. Oto co pisze w konkluzji swoich wywodów:

„Mocno wierzących, a leniwych ku badaniu pism, niniejszem przepraszam. Ale, aby ich w smutku pocieszyć, powiadam im uroczycie i ja, że Jezus zmartwychwstał, ale nie w własnym ciełe, jak to koniecznie chcieli dziejopisarze ewangeliczni. Lecz zmartwychwstał duchowo, najprzód w Marji Magdalenie, i w drugiej Marji, a nareszcie w innych niewiastach; później nieco w Piotrze i Janie, później między innymi apostołami, ale był to wewnętrzny głos Jezusa, a raczej przypomnienie sobie tego, co Jezus czynił, co mówił i co przepowiadał”.

Wobec tego i „obecność” Jezusa też może być tylko duchowa, i w tym tylko sensie — rzeczywista. Autor sądzi, że — żyć według wskazówek Jezusa, to znaczy — znaleźć Boga. — „Ale aby tak żyć, trzeba rzeczywiscie się odrodzić, porzucić zabawki z lalkami i obrazkami po kościołach i po domach; przestać się modlić przed lalkami i do lalek większych lub mniejszych, ulanych z metalu, gipsu, wystruganych z drzewa, lub wykutych z kamienia... Zabawka z lalkami w kościołach jest kosztowną i śmieszną. Rok rocznie kapłani kładą jedną lalkę, niby Jezusa umarłego, w piątek. Pokazują drugą lalkę z chorągiewką, w niedzielę rano, a chociaż to lalka gipsowa, mówią, że to **Jezus Zmartwychwstały**”.

Obydwe zacytowane książeczki zostały, zwyczajem amerykańskim, wydane bez daty; sądząc wszakże z ich treści, przypuścić należy, że druga książka została wydana później. W pierwszej ksiądz Zielonko **uduchawia** Jezusa i legendy o nim, odrzucając zbyt grube i trywialne uzmysławianie jego osoby. W drugiej natomiast (p. n. „Jak ludzkość szuka i czci Boga?) robi następny krok naprzód, i w logicznym wyniku rozumowania odrzuca boskość Jezusa, istnienie świętej trójcy, boskość Marji, i zostawiając z całej religji tylko pojęcie o jedynym, wiecznym, niepojętym Bogu, staje już wyraźnie na stanowisku unitarjan czy też arjan.

Ta druga, niezmiernie ciekawa książeczka, składa się z dwóch rozdziałów: historycznego, p. n. Jak ludzkość pojmowała Boga dawniej? i apologetycznego, p. n. Jaki ma być kult Boga?

Powiedzmy odrazu, że część pierwsza jest słabo napisana. Jestto niby życiorys Mojżesza i historia powstania religji jego, oparta na niezbyt pewnym źródle, bo na opowieści Strabona, który jakoby otrzymał wtajemniczenie od kapłanów egipskich. Ks. Zielonko sądzi, że „żydzi w Mojżeszu, jako swoim zbawcy, uznali Boga; do nich to on, jako wybawiciel, mówi: Jam jest Pan Bóg twój!” Ks. Zielonko powinien byłby wiedzieć, że to jest tylko fałszywe tłumaczenie, gdyż tekst hebrajski brzmi: „Jam jest

Jehowa, Bóg twój!" Jehowa więc, a nie Mojżesz, był owym bogiem żydów. Słusznie jednak autor wywodzi, że Jehowa (nie Mojżesz!) był bogiem tylko i wyłącznie żydów, wskutek czego sądzi, że inne narody nie mają żadnego obowiązku uznawać Biblii, gdyż jestto kodeks cywilny i karny, pisany tylko dla żydów.

Jak widzimy, ks. Zielonko sam burzy podstawy swego kościoła, jak je podał w wyznaniu wiary Kościoła Polsko-Katolickiego, cytowanym powyżej. Biblia nie jest już słowem bożym ogólnym, nie jest już najwyższym autorytetem w sprawach religijnych, jest tylko podręcznikiem do badania religii żydowskiej.

Jeśli w pierwszej części autor odrzuca stary testament, to w drugiej części swej książeczki atakuje gorąco nowy testament, przynajmniej w tym sensie, jak go przyjmują i uznają prawie wszyscy wierzący chrześcijanie, a przedewszystkiem katolicy. A więc pisze:

„Bóg jest odwieczny, przez nikogo nie stworzony. Dlatego też człowiek nie ma prawa przeznaczać Mu kogoś na matkę”.

„Bóg jest wszechmocny, a jako taki, potrafi sam wszystkim pokierować tak, aby Jego dzieci, ludzie, byli szczęśliwi tu na ziemi, a później z Nim duchowo żyli wiecznie. Dlatego też żaden człowiek nie ma prawa narzucać się na pośrednika między Bogiem a człowiekiem”.

„Bóg jest litościwy i pełen miłosierdzia. Dlatego też są kłamcami wszyscy, którzy z tego Boga robią tyrana, mściciela, kata, który by się lubował w mękach wijącego się człowieka”.

„Bóg jest i musi być tylko jeden, sam w sobie niepodzielny — bo jest duchem. Przeto upada twierdzenie, że Bóg jest troisty: Ojciec, Syn i Duch święty”.

„Nie odbieram tu czci Jezusowi, jako synowi Bożemu, lecz takim samym synem Boga żywego, według ducha, jest każdy człowiek męskiego rodzaju, a żeńskiego córka. Matki nasze mają ten sam, co matka Jezusa, Marja”.

„Sekciarze zrobili z Jezusa Boga, ale odrzucili wszystko, co ten Jezus, Syn Boży, a jak sam się mianuje „Syn człowieczy” — zalecał i czego nauczał”.

Te cytaty dowodzą, że ks. Zielonko w rozwoju swoim przebył całą drabinę kultów chrześcijańskich: od kościoła rzymsko-katolickiego, przez kościół Narodowo-Katolicki, później Polsko-Katolicki do kościoła Arjańskiego.

A nie zapominajmy, że tu nie o pojedynczą jednostkę chodzi, lecz o cały kościół z dużą liczbą wiernych, którzy idą za swym przewodnikiem duchowym, człowiekiem, jak widać, o silnej indywidualności.

Ale jeszcze dwie cytaty:

„Duch człowieka, po cierpieniach, po trudach, po mękach tu na ziemi, ma spocząć w objęciach bożych przez połączenie

się w jedną całość z duchem Bożym na wieki, lub też nanowo rozpocząć pracę w innym ciele, aby się udoskonalić, a przez to wypełnić posłannictwo, jakie mu jest przeznaczone przez odwiecznego Ojca Boga”.

„Jezus... postanowił znieść wszystko co złe, — szczególnie ówczesny kult Boga — a zaprowadzić ten, dla którego pracowali, cierpieli i marli: Rama, Kryszna, Hermes, Orfeusz, Pitagoras, Laotse, Konfucjusz i wielu wielkich wtajemniczonych przez wszystkie wieki od zarania dziejów ludzkości aż do dni naszych; to kult stosunku człowieka do Boga, jak dziecię do ojca”.

Tu już ks. Zielonko przestaje być nawet arjaninem — staje się teozofem, wolno-religijnym mistykiem — bez określonego wyznania.

Trudnoby nam było wyobrazić sobie w dzisiejszych warunkach bardziej sympatyczny kościół, jeśli już ludzie chcą koniecznie kościoła. Szłoby tylko o to, by parafianie podążyli umysłem za swym przewodnikiem, i aby to słowo—stało się ciałem.

Przyszłość nam to pokaże.

Józef Landau.

Na wezwanie nasze do dyskusji w sprawie, poruszonej w artykule p. n. „Ateizm a myśl wolna” (Nr. 10 z października r. b.) otrzymaliśmy dwie obszerniejsze odpowiedzi, z których pierwszą drukujemy w całości, drugą zaś — z pewnymi skrótami, podyktowanymi względami technicznymi.

Redakcja.

W sprawie ateizmu i wolnomyślicielstwa.

Gdybym miał zamiar prowadzić kampanję przeciwko mistykom lub mistycyzmowi, mógłbym, po przeczytaniu w przedostatnim (10-ym) numerze „Myśli Wolnej” artykułu p. t. „Ateizm a myśl wolna”, powiedzieć: Żle się widocznie dzieje w państwie mistyków, skoro w każdym prawie numerze naszego organu tylu autorów odzęgnywuje się od ateizmu. Mógłbym też dodać: widocznie zbyt wielu obywateli przechodzi od wierzeń do ateizmu, skoro tylu naraz wolnomyślicieli-mistyków wstrzymuje heretyków w pół drogi z ostrzeżeniem: Nie chodźcie dalej, bo przestalibyśmy nazywać was wolnomyślicielami. Niestety, tak dobrze nie jest. Zdecydowanych ateistów mamy zbyt mało, aby mogli być groźnymi dla tego lub owego „lepszego” lub „gorszego” ruchu panteistycznego, lub, jak się teraz wykryło religijno-wolnomyślicielskiego. Widocznem jest jednak, że

mimo ogólnych przekonywań, że człowiek jest stworzeniem mistycznym, ludziom nowoczesnym już się przyjadły te ich jakoby przyrodzone uczucia i potrzeby religijne. Z tego powodu przeciętny obywatel stracił wszelką ochotę wyteżania zbiedzonej mózgownicy nad określaniem różnicy pomiędzy tym lub owym światopoglądem wierzeniowym i czuje tylko jedno: był i jest przez całe życie oszukiwany na tle swego stosunku do wszechświata. To, w co wierzył, rozproszyło się bezpowrotnie przy zetknięciu się z głosicielami tych czy innych dogmatów. Wszelkie jego porywy, wypływające z najwznioślejszych religijnych przesłanek ideowych, są wstrzymywane przez rozmaite nakazy i zakazy. Nie znajduje podniety dla jakichkolwiek poczynań w imię najbardziej dla niego do pewnego czasu świętych haseł, bo zewsząd wieje pustka, wszędzie ociera się o brudne cele materialne. Nie dziw więc, że, jeżeli zrywa dotychczasowe pęta, nie sposób zatrzymać go na nowej płaszczyźnie „innego” pojmowania boga, a chciałby pędzić dalej, jaknajdalej od tego, co mu w czemkolwiek przypomina jego dawne wierzenia. Chciałby żyć nie wieczną bojaźnią wobec „Nieznanego”. Pragnąłby osobiście określić i dociec kiedyś celu życia.

I tu zaczyna się tragedia mistyków.

Sami „nieprzejednani” w stosunku do kościelnych trucicieli dusz ludzkich, pragnęliby wznieść siebie do wyżyn niebotycznych, wykrzesać w sobie najszlachetniejszy zapach do... podziwiania wielkości i doskonałości wszechświata. Tak uduchowiony człowiek mógłby osiąść możność bezpośredniego poznania Boga, odczucia go w każdej chwili swego (ludzkiego) działania, zrozumienia porządku świata, stać się częścią boga, stworzyć z ludzi pewną całość z bogiem i tak dążyć i trwać w wiecznym pięknie i szczęśliwości.

Zaiste rzecz warta zachodu. Cóż jednak z mrzonek, gdy żyje się w jednym skupisku z religijantami, a współobywatele ateusze zadają pytania: Czyż mistycy stworzyli coś nowego, czego dotąd nie było? Czy rozmaite religie i wierzenia nie do tego samego dążą, — do poznania Boga? Czy mistycy rozmaitych nazw wynaleźli choćby jakiś atom boski, który nie był dotąd przez ludzkość rozbiegany? Czy brak jest wyznań i sekt, które, idąc z „postępem”, mogłyby z łatwością pomieścić w swem dążeniu do Boga dążenia mistyków? Poczóż więc wynajdywać nowe dla siebie nazwy, raczej przywłaszczając sobie nazwę wolnomyślicielską, skoro wszystko to już jest i było? Toż unitarjanie dzisiejsi mogliby mieć urazę do nowej wyłaniającej się sekty mistyków, że dąży ona do rozłamów ich pracy.

Czas byłby najwyższy, aby przynajmniej wolnomyśliciele zaprzestali dzielić siebie samych na wierzących i ntewierzących.

Jeżeli dochodzi do tego, że mistycy częstują nas nową potrawą:

bezbożność jest to przeciwieństwo wolnomyslicielstwa, to musimy oświadczyć: znajdujemy się w towarzystwie może sympatycznym, ale stanowczo nieodpowiednim.

My nie odbieramy nikomu prawa dociekań religijnych, nie kwestjonujemy niczych uczuć wierzeniowych, — gdyby nawet opierały się one na podstawach naiwnych. Nie jesteśmy zazdrośni, gdy ktoś w własnym mniemaniu przejrzał istotę swego bóstwa lub stale dostrzegał widome i niezmiennie działania boskie. — Gdy jednak ktoś jakoby obala stare wypłowiałe myśli, a jednak, nic nowego nie dodając, twierdzi, że jest innym myślicielem, ba — wolnomyslicielem, że on jeden inaczej pojmuje wszechświat, to musimy sprawę postawić jasno i powiedzieć:

Nie na tem polega wolnomyslicielstwo, aby rozdawać tym lub innym grupom ludzi patenty na prawomyślność wolnomyslicielską, lub tworzyć jakiś systemat myślowy, bo byłby to znów jakiś kościół oryginalny.

Wolnomyslicielstwo — jest to nieustający bunt przeciwko wszelkiemu przymusowi, bunt myśli i czynu, bez granic działania.

Wolnomysliciele wszystkich wieków — są to ludzie pracujący myślowo **nie dla boga**, a dla ludzi i dlatego ruch ten posiada realny podkład życiowy, interesujący wszystkich uciskanych materialnie i duchowo.

Jeżeli jednak poszczególnym jednostkom, w wolnej od życia realnego chwili, są niezbędne rozmyślenia o bogu, i o tem, czy „wszelkie zjawiska nie są wynikiem czyjejs zewnętrznej świadomej woli“ i t. d., i t. d., i jeżeli te dopełnienia swego umysłu pragną nazywać wolnoreligijnym wolnomyslicielstwem, to zabronić im tego naturalnie nie możemy, ale też nie wolno nam zamilczeć o istocie naszego stanowiska.

Wszystko się powtarza: Chrystusowa wiara wydziedziczonych przedzierzga się z czasem w religję przeciwko wyzyskiwanym; walka z dogmatyzmem zamienia się u mistyków w walkę przeciwko tym, którzy dali możność stawiania pierwszych kroków przeciwwyznaniowych.

Najparadniejszym „zarzutem“ mistyków przeciwko bezbożnikom jest to, że żyją oni negacją. Ludzie wierzący, podług tej klasyfikacji, stworzyli zatem rzeczy pozytywne. Oni jedni pobudzili ludzkość do poszukiwania prawdy, oni jedni zrozumieli cele stworzenia w łańcuchu praw wszechbytu; oni to zerwali z wszelkim dogmatyzmem, oni prześwietlali pobudki działania instytucji kościelnych, oni przeprowadzali studia porównawcze nad religjami i t. d.

Są to jakoby dzieła pozytywne mistyków. Natomiast ate-

usze nic nie zrobili, wszystkiemu nadprzyrodzonemu przeczą, a nadewszystko zaprzeczają istnieniu Boga. A byłoby inaczej, gdyby pewnego dnia wszyscy ludzie wierzący wyzbyli się swego kleru, przestali wierzyć w świętych lub synów bożych, a ograniczyliby się publicznem wyznaniem, iż „za tym murem jest ich Bóg” (wedle recepty autora omawianego artykułu); wówczas wszyscy ludzie staliby się wolnomyślicielami, — prócz ateuszów.

Ateusze nie wierzą w boga, ponieważ nazwa ta została zupełnie zdyskredytowana. Przez to pojęcie,

przez zajęcie umysłu tym określeniem,

ludzkosc wstrzymywała przez tysiące lat rozwój swych sił moralnych i fizycznych. Przez zajęcie się wielu bogami lub jednym bogiem i z powodu boga, ludzkosc zwyrodniała, i tylko po zerwaniu z przeżytkami boskimi następowało **odrodzenie**. Musimy wyrzec się pomocy boskiej dlatego, że wiele poczyniń naszych jest w rozterce z działaniem boga. Jeżeli Bóg w nieprzeniknionej przez nas doskonałości i po dokładnem „świadomem obliczeniu” pragnął od czasu do czasu pewną ilość ludzi zgładzić za pomocą dżumy, lub jeżeli ta lub inna cholera była dla globu ziemskiego przeznaczoną, a jednocześnie niezbędną, aby utrzymać równowagę reszty świata, to my ateusze rozpoczęliśmy w swoim czasie walkę o życie i zwyciężyliśmy Boga. W ostatnich czasach „dopusty” boskie są coraz rzadsze, tak, że wobec tego bóg będzie musiał prawdopodobnie zmienić swój układ świata.

Jeżeli Bóg, celem utrzymania urzędów przywozu i wywozu, taki ułożył porządek handlu międzynarodowego, aby pewne okolice były zmuszone znosić ciągłe nieurodzaje i posuchy (celem sprowadzania płodów ziemnych z innych krajów), to na przekór nakazom boskim ludzie wszystkich tych biednych okolic tak się z czasem urządzają, że nie pozwolą się uzależnić od widzimisie boga i walczyć będą do upadłego o możność wyżywienia się wytworem miejscowym.

Jeżeli dla porządku świata było potrzebne, aby w pewnych okolicach Czech przez setki tysięcy lat zostały pochowane znikome złoza radu, — i jeżeli uczeni wyrwali je ziemi, nie podważając kuli ziemskiej, ani nie naruszając jej biegu, to musimy z tych i setek innych powodów przyjąć jako pewnik, że: 1) nie tworzymy łącznie z stworzonym przez mistyków, za jakimś murem, bogiem jakiejś pełnej doskonałości, a naodwrot tworzymy przeciwagę swego boga, 2) jesteśmy na to, aby pchnąć świat na nowe tory, bo przedstawiamy sobą realny **cel życia**: coraz wyższe uduchowienie ludzi dla szczęścia samych ludzi.

Bardziej jest dla nas zrozumiały klerykał, który, zapatrzony w niebo i wierzący prawdziwie czy obłudnie w rozmaite, cuda, stara się tak czy owak wytłumaczyć życie, aniżeli mistyk, mieniący się wolnomyślicielem, który dlatego szuka „swego” boga, bo... czegoś nie rozumie. Gdyby wszystko zrozumiał, przestałby być „wolnomyślicielem”.

Naszą podniętą nie są kontemplacje boga, lecz chęć oparcia życia ludzkiego na stosunkach człowieka do człowieka, a nie człowieka do „Boga”. Wiara w jakiegokolwiek boga przeszkadza nam urządzić porządek ziemski tak, aby odpowiadał naturze ludzkiej.

Być może, że nasze dążenia, nasza taktyka jest przeciwna naturze boskiej, lecz powiadamy mistykom bez ogródek: Wasz bóg, jak go przedstawiacie, — nie jest naszym bogiem; my go się wyrzekamy, nie wierzymy w niego, odrzucamy go.

My tworzymy własne bóstwo: „bóstwo” życia, „bóstwo” solidarności wszechludzkiej.

D. Jabłoński.

Ateizm czy „Himmelfahrt”.

W artykule swoim, ob. Landau, zasadniczo nie próbuje naprawdę wytłumaczyć „co to jest ateizm”, wystarczy mu gdy zdegraduje go i uczyni zeń ograniczonego kopciuszka wobec wolnomyślicielstwa.

Na samym wstępie, ob. Landau stawia zarzut, że ateusz „w poszukiwaniu i odkrywaniu sił dotychczas nieznanych, w każdym poszczególnym wypadku dochodzi do pewnej granicy, gdzie staje, wbija pal w piasek nadbrzeżny i kładzie napis: „tu się ziemia kończy — dalej niema nic”.

Jednym słowem, w najważniejszych zagadnieniach bytu, ateusz, według p. Landaua, w swoim rozumowaniu i badaniu dochodząc do pewnej granicy, zastony, zasklepia się niejako w sobie i nie stara się jej przeniknąć, ani też uchylić jej rąbka.

Rozumowanie zaś i badanie wolnomyśliciela kształtuje się rzekomo inaczej, gdyż według p. Landaua, wolnomyśliciel właśnie stara się przeniknąć te tajemnice, wybiedz myślą naprzód, chociażby te poszukiwania do niczego go nie doprowadziły. (Jest to mniej więcej to samo, co być przeświadczonym, iż się muru z posad nie ruszy, mimo to głową o niego uderzać).

Nie rozumiem zresztą, dlaczego ten akurat sposób rozumowania i badania był właściwy ateuszowi, a drugi miałby specjalnie charakteryzować wolnomyśliciela.

Rozumowanie i sposób szukania dróg nieznanych przez danego osobnika może być odmienny, ale bynajmniej nie dlatego, iż jeden z nich jest wolnomyślicielem, a drugi ateuszem.

Inna sprawa, iż w rozwiązaniu najważniejszych zagadnień bytu (jak zresztą we wszystkim), ateusz stoi na stanowisku bardziej realnym, bardziej pozytywnym, a nie buja w mglistej abstrakcji.

Ateusz posiada świadomość wewnętrzną tego, iż człowiek jest bezsilny i nigdy tej granicy nie zdoła przekroczyć.

Ateusz nie posiada złudzeń w tej mierze, ale czyżby to miało ograniczać jego siły badawcze?

Jedną z najpoważniejszych różnic między ateizmem a wolnomyślicielstwem widzi ob. Landau w ich stosunku do jednostek i grup wyznaniowych.

Ob. Landau wychodzi z założenia, iż ponieważ zasada wiary, jako takiej, jest dla ateusza zjawiskiem ujemnym, więc z konieczności ateusz odnosi się wrogo do wszelkich grup wyznaniowych, czy wogóle do jednostek wierzących.

Mogę w tym względzie, w zupełności uspokoić obawy ob. Landaua: — każdy człowiek szlachetny, czy tylko uczciwy, czy to będzie ateusz, czy wolnomyśliciel, czy nawet klerykał, potrafi uszanować cudze przekonania i nie trzeba być na to specjalnie aż wolnomyślicielem!

Czy patent wyrozumiałości i zrozumienia dla ludzi i grup prawdziwie wierzących, mają tylko wolnomyśliciele?

A wreszcie, czy w pojęciu „ateizm” mieści się rzeczywiście wszelka negacja wiary?

Nie! Stanowczo nie!

Nie wierzyć, nie znaczy to bynajmniej negować wiarę, to znaczy wierzyć w jej brak.

I ateusz wierzy i wierzy w to głęboko. Niech powyższe słowa nie wydadzą się paradoksalnymi, gdyż po bliższem wniknięciu w tę sprawę, każdy przyzna, że jednak silnie wierzyć musi w słuszność swoich poglądów człowiek, który tak wszystko odrzuca i neguje, który potrafi śmiało w postawiony przez siebie problemat nicości spoglądać i nie cofać się. Może cierpi przy tym bardzo, może świadomość tego przytłacza i dlatego by być ateistą trzeba dość rzadko spotykanej mocy ducha, trzeba jednostki o nader silnej indywidualności.

„Nicość jest to nieskończone nic i to nic otacza nas wsząd. Wyłaniamy się z niego, powracamy w nie; pomiędzy temi obiema nicościami jesteśmy jako muszla w głębinie mórz. Nicość — jest to coś niemożliwego i coś bezwzględnie pewnego; jest to coś, co nie da się pojąć, a co jest. Nieszczęściem ludzi,

nieszczęściem ich i zbrodnią — jest to, że odkryli oni te sprawy". (Anatol France).

Wolnomysliciel żyje jeszcze złudzeniami, których się pozbył ateusz.

Ateusz bardziej krytycznie zapatruje się na życie go otaczające, nie buja w abstrakcji i nie gubi się w mętnej frazeologii.

Wszystkim wolnomyslicielom, którzy tyle frazesów mają na ustach, szczególnie wtedy, gdy chodzi o zagadnienie wiary, którzy chcą nas przekonać o jakiejś „nieuchwytniej" własnej wierze, którą każdy z nich jest przepojony, a co ma ich właśnie pasować na wolnomyslicieli i odróżniać od ateuszy (o wierze tej mówią ogólnikami i nic naprawdę konkretnego o niej powiedzieć nie są w stanie) polecę zastosować się do rady Anatola France'a „choć z odrobiną krytycyzmu wejrzyć w źródła swych wierzeń, w pochodzenie swej wiary. Bo też przypatrując się zbytnio jej pierwiastkom, raz na zawsze przestałoby się wierzyć. (Anatol France: Ogród Epikura).

Sądzę, iż łatwo można pogodzić i utożsamić wolnomyslicielstwo z ateizmem, ale tylko wtedy, gdy się pod szerszym kątem widzenia na ateizm spojrzy i gdy się zarzuci wolnomyslicielskie bujanie w obłokach — wolnomyslicielski „Himmelfahrt".

Zygmunt Tonecki.

Ankieta.

Otwierając dyskusję nad zagadnieniem stosunku wolnomyslicielstwa do ateizmu, przystępujemy równocześnie do przeprowadzenia ankiety, która by umożliwiła nam zorientowanie się w poglądach szerokich kół wolnomyslicieli na tę sprawę.

Czytelnicy nasi zechcą więc odpowiedzieć na następujące pytania:

1) Czy jesteście człowiekiem religijnym, czy ateuszem?

2) Czy uznajecie potrzebę organizowania swego życia religijnego?

Odpowiedź winna być podpisana, z zaznaczeniem, czy odpowiadający jest członkiem Stowarzyszenia Wolnom. Polskich.

Odpowiedzi prosimy nadsyłać pod adresem Redakcji „Myśli Wolnej" — Warszawa, Poznańska 14 m. 19.

Redakcja.

O świętach i świętowaniu.

Kościół chrześcijański liczy mnóstwo wszelkiego rodzaju dni „świętych”. Oprócz niedziel i rozmaitych narodzeń, wniebowstąpień, wniebowzięć, t. j. dni poświęconych Chrystusowi i jego matce, pannie Marji, istnieją święta 3 królów, św. Józefa, oblubieńca tejże p. Marji, świętych apostołów Piotra i Pawła, Stanisława biskupa, wszystkich świętych oraz cały szereg uroczystości świętych „patronów” kraju, djecezji, parafji, miasta. Są, jak wiadomo, nawet takie uroczystości jak „boże ciało”, „niepokalane poczęcie najświętszej panny”. Niektóre z tych świąt, jak np. drugie święta narodzenia Jezusa, wielkanocy i zielonych świątek kościół katolicki oficjalny już zniósł, lud jednak trzyma ich się uparcie i kalendarze podają je drukiem czerwonym.

W nakazane te dni święte trzeba **świętować**, t. j. wstrzymać się od robót służebnych, od ciężkiej pracy cielesnej, od czynności sądowych, jakoteż od targów, jarmarków i wogóle wszelkich handlów publicznych, a natomiast trzeba z gorliwością i nabożeństwem słuchać mszy świętej i kazania świętego, w świętym kościele, ze świętych ust świętego kapłana...

Nasz polski rząd republikański gorliwie pilnuje przepisów świętego prawa kościelnego i w taki święty dzień — mozesz, człowieku, umrzeć z głodu i pragnienia i żaden sklep nie otwórzy się przed tobą.

Owszem, po pracy dobrze jest odpocząć i trochę świętowania potrzeba człowiekowi, ale u nas jest tych świąt zanadto i większość ich jest kapitalnie bezmyślną. Co nas, wolnomyślicieli, może obchodzić święto jakichś tam króli, 3 czy nawet 9, albo takiego biskupa krakowskiego, Stanisława? Nam należałoby ustanowić swoje święta, celowo, według zgóry ułożonego planu.

W tym celu potrzeba przedewszystkiem wydać swój własny „**Kalendarz wolnomyślny**”. W kalendarzu owym należałoby pozostawić wszystkie niedziele, jako dni odpoczynkowe, i ustanowić 12 świąt w roku — po 1 co miesiąc. Oto projekt:

- Dnia 1 Stycznia — Nowy Rok.
- „ 2 Lutego — Święto Karnawału.
- „ 3 Marca — Zwiastowanie Wiosny (Skowronka).
- „ 4 Kwietnia — Zmartwychwstanie Życia.
- „ 5 Maja — Święto Wolności.
- „ 6 Czerwca — Święto Przyrody (kwiatów).
- „ 7 Lipca — Sen Nocy Letniej (Święto Poezji).
- „ 8 Sierpnia — Ideału Cnoty.
- „ 9 Września — Święto Obfitości.

- „ 10 Października — Święto Miłości.
- „ 11 Listopada — Dzień Żałobny.
- „ 12 Grudnia — Święto Zimy.

Naturalnie, każdy z tych dni świątecznych należałoby uczcić w odpowiedni sposób. 1 stycznia—dzień życzeń, 2 lutego—bal, 3 marca — dzień wesołości, 4 kwietnia — wycieczka za miasto, 5 maja — pochód uliczny, 6 czerwca — spędzanie czasu na łonie przyrody, 7 lipca — nocna wycieczka do lasu, 8 sierpnia — uczynek dobry do spełnienia, 9 września — libacja owocowa, 10 października — umizgi miłosne, 11 listopada — poświęcony pamięci zmarłych wielkich ludzi, 12 grudnia — wycieczka na sankach.

Takie święto miałoby naprawdę sens i znaczenie.

A Górski.

Kącik polemiczny.

W artykule p. n. „Militaryzm a wolnomyślicielstwo i bezwyznaniowość” zapytuje p. prof. Baudouin de Courtenay: „co jest wstrętniejsze: czy przymus wyznaniowy, przymus udawania, że się w coś wierzy, chociaż się w to nie wierzy, czy też przymus wojskowy, militarystyczny, przymus popełniania grzechu, wbrew wszczepionemu głęboko w duszę braniu na serjo przykazania „nie zabijaj!” Uważam, że ta definicja pojęć nie odpowiada istocie tak jednego jak i drugiego przymusu. Już samo słowo „przymus” oznacza prosty gwałt, a więc zwykłą zbrodnię, popełnianą na czującej i myślącej jednostce. Dlatego też postawiłbym wspomniane wyżej zapytanie w ten sposób: co jest większą zbrodnią przeciw moralności, ludzkości, humanitaryzmowi, czy też dobrym obyczajom: przymus wyznaniowy czy przymus służby wojskowej? i dopiero na to pytanie poszukiłbym odpowiedzi.

Przymus wyznaniowy dotyka bezpośrednio jednostkę, która widzi się zmuszoną ulegać przemożnej sile kleru i popierającego kler Państwa. Przymus może być, w dzisiejszych warunkach, skutecznie ignorowany i wtedy jest już prawie całkowicie iluzoryczny, nie daje się zbyt poważnie odczuwać, nie przynosi więc, przynajmniej namacalnie, tego zła, jakie szerzy wokół siebie przymus służby wojskowej. Zresztą potrzebę niezależności, wolności wyznaniowej odczuwają tylko jednostki bardziej rzutkie, głębsze, wybitniejsze, dla których ramki wyzna-

niowe są już zbyt ciasne, a dogmaty i „prawdy objawione” zbyt naiwne i płaskie.

Przymus służby wojskowej gwałci człowieka już nie tylko duchowo — ale krzywdzi go i materialnie (oderwanie gwałtem od warsztatu pracy) moralnie (rozłąka z rodziną) i wreszcie wtrąca na dno otchłani zbrodni, zmusza bowiem do systematycznego popełniania morderstwa, rabunku, gwałtu, a wynosząc zwykle instynkta zwierzęce do godności „bohaterstwa” deprawuje i paczy do gruntu często szlachetne nawet natury. A czy ni spustoszenie nie tylko wtedy, gdy wojna jest napastnicza, agresywna — ale i wtedy, gdy szeroko i głośno mówi się o szlachetnych celach (wyzwolenie ludów lub wyzwolenie proletariatu i t. p.) o obronie czci kobiet o obronie „świętej własności” i t. d., i t. d. Nie może więc być mowy o usprawiedliwieniu konieczności popełniania zbrodni zabójstwa, bowiem niema dość ważkich, według mnie, powodów, któreby usławić mogły przymus mordowania i gwałcenia. A że nie mogę zgodzić się pod żadnym warunkiem na uświęcenie prawa do mordowania w imię „wolności”, „życia”, „dobra ogólnego”, „własności” (gdyby tej „własności” niebyło zapewne i potrzeba mordowania odpadłaby sama przez się) „czci naszych kobiet” i t. p. — zgadzam się z p. prof. że „tresowanie bydła dwunogiego” w sztuce mordowania i niszczenia jest większym gwałtem, aniżeli narzucanie niewierzącym (lub wierzącym inaczej) „tego lub owego wyznania”.

Jednak, mówiąc o wojnach jako o masowym mordowaniu ludzi, znajduje pan profesor jeden wyjątek. „Bywają konieczności prowadzenia wojen obronnych i t. d.”. Staję tedy na stanowisku p. profesora: przypuśćmy, że zgadzam się na konieczność prowadzenia wojny obronnej (pod tę kategorię można każdą wojnę podciągnąć). Dobrze! Ależ chcąc walczyć, nie dość jest posiadać broń, równą co do skuteczności broni przeciwnika, a nawet o ile możności przewyższającą ją w działaniu, ale trzeba umieć się tą bronią posługiwać; najdoskonalszy bowiem karabin czy armata muchy nawet nie zabije bez wyćwiczonych czyli wytresowanych strzelców i kanonierów, owego „bydła dwunogiego”. Trzeba więc umieć walczyć — trzeba żołnierza w tej walce wytresować, nauczyć go szybko i skutecznie mordować — a to nie jest rzeczą ani łatwą ani prostą.

Chcąc więc prowadzić wojny choćby „obronne”, trzeba mieć dobrze wyćwiczoną, wspaniale technicznie wyekwipowaną armję i dlatego oburzenie pana profesora z powodu „tresowania dwunogiego bydła” jest conajmniej dziwne i przeczy

) Uwaga moja.

twierdzeniu: „Ale też tylko takie (t. j. obronne) wojny dają się usprawiedliwić”. Zresztą zdaje mi się, że albo się jest militarystą, a wtedy każda wojna jest zupełnie zrozumiałą i naturalną, albo się jest pacyfistą i wypowiada się w imię godności ludzkiej wojnę wszelkim wojnom i napastniczym i obronnym.

Józef Kobyłecki.

Ze spraw bieżących.

W numerze marcowym r. b. ogłosiliśmy ankietę na wskazanie utworów literackich, zdolnych ludziom niekrępowanym żadnymi dogmatami kościelnymi udzielić tych wzruszeń podniosłych i tego skupienia duchowego, jakie człowiek wierzący czerpie z lektury ksiąg swego Zakonu.

Odpowiedzi otrzymaliśmy stosunkowo niewiele. Charakterystyczną jest dla nas rozbieżność poglądów pod tym względem wśród naszych czytelników: rzadko która książka wspomniana była po kilka razy. Najczęściej wskazywano „Miłość w przyrodzie”, W. Bölschego, jako dzieło, najbardziej pobudzające do zastanawiania się nad siłami twórczymi przyrody. Cytowano też często „O pochodzeniu człowieka” K. Darwina, oraz „Tako rzecze Zaratustra”, F. Nietschego.

Za najgłębszą, najbardziej uzasadnioną odpowiedź uważamy słowa ob. Józefa Janowskiego, który pisze: „Najlepszą książką wolnomyślną jest ta, której jeszcze nikt nie napisał, ta, która znajduje się w zakamarkach duszy każdego uczciwego człowieka”.

Słowa te poddajemy rozwadze naszych czytelników—i na tem ankietę naszą zamykamy.

Redakcja.

Od kilku miesięcy wychodzi w Springfield, Mass., w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, miesięcznik p. n. „Wolna Myśl”. Jest to organ polskich łóż masońskich w Ameryce.

Ktokolwiek otarł się o łożo masońskie w Ameryce, ten wie, jak niewiele wspólnego mają one ze współczesną masonerją europejską. Ta ostatnia, o ile sądzić możemy z publikacji, ma

cele głównie polityczne, i w tym głównie duchu pracuje. Natomiast loże masońskie amerykańskie — to przedewszystkiem stowarzyszenia wzajemnej pomocy i kluby towarzyskie, pokryte bardzo przejrzystą zasłoną tajemniczości. Loże amerykańskie różnią się między sobą przeważnie — wysokością wpisowego: są takie, gdzie nowowstępujący członek musi wpłacić 10 dolarów, w innych kosztuje to 50 dol., 100 dol. i więcej. Wskutek tego w lożach zbierają się ludzie, należący mniej-więcej do jednej sfery pieniężnej, którzy doskonale się czują w swoim towarzystwie i niezbyt chętnie widzą wśród siebie intruzów, choćby wtajemniczonych w 50-ym stopniu.

Nie wiem, jak się urządziły tam polskie loże masońskie; czy przyjęły system miejscowy, grupując się wedle zawartości portfeli, czy też, wzorem loż angielskich lub francuskich, prowadzą politykę, co odmiennie wpływa na skład osobisty tych loż. Sądząc wszakże z treści „Wolnej Myśli“, przypuścić by należało, że masoneria polska w Ameryce — to przedewszystkiem wolna sekta, walcząca o swe zasady religijno-społeczne, i ostro zwalczająca sekty religijne odmienne, w pierwszej linii — katolicyzm. W artykule wstępnym w Nr. 4, p. n. „Religja Wolnomularstwa“, znajdujemy takie określenia:

„Jeśli uznanie Ojcostwa Boga i Braterskości ludzi jest obowiązkiem religji, natenczas Wolnomularstwo, uznając Ojcostwo Boga i Braterskość ludzi, musi być religijnym, jeśli zasady cnoty, ludzkości i moralności religją nazwać chcemy. Swoje zasady wolnomularstwo opiera na fundamencie V. S. L., — i uznaniu T. G. A. O. T. U., jako najwyższego arbitra, — i uznaniu życia poza grobem. Żaden człowiek nie może być Wolnomularzem, jeśli nie zgadza się z temi zasadami. Żaden człowiek nie może być przyjętym do loży, jeśli tych zasad nie uznaje. My nie staramy się określić życia pozagrobowego — to zostawiamy jednostce i teologom“.

Ponieważ ja, jako laik, nie wiem, co znaczą tajemnicze inicjały V. S. L. i T. G. A. O. T. U. (mój Boże, jaki długi tytuł!), nie mogę więc sobie uświadomić, czy zasady te zgodne są z naszymi pojęciami o wolnomyślicielstwie; natomiast stwierdzam z całą stanowczością, że żaden wolnomyśliciel nie pozwoli sobie zgóry narzucić uznania ojcostwa boga, ani nie zgodzi się, by mu jakiś teolog określał jego życie pozagrobowe.

Chociaż więc walka z supremacją kościelną, głównie katolicką, odrzucanie dogmatów i systematów religijnych (prócz deizmu, który jest naczelnym dogmatem masonów amerykańskich, zarówno jak angielskich i niemieckich) zbliża nas do wolnomularstwa polskiego w Ameryce w pracy realnej nad usamowolnieniem się człowieka, to niemniej dzieli nas zasadniczy po-

gład na istotę wolności ducha, którego my żadnym dogmatem skrepować nie pozwolimy.

Witając więc życzliwie nowe pismo, tak potrzebne w fanatycznej na punkcie objawień biblijnych Ameryce, zaznaczamy jednak wyraźnie, że „Wolna Myśl” z Ameryki nie jest naszą „Myślą Wolną”.

Wielce szanowny ks. Nikodem Cieszyński z Poznania, mając zamiar wydać w styczniu przyszłego roku drugi tom swoich „Roczników Katolickich”, rozesłał do zaprzyjaźnionych redakcji pism (a więc i do naszej) prospekt nowego wydawnictwa — z prośbą o wzmiankę. W prospekcie tym, utrzymanym w stylu — nieco amerykańskim, ks. Cieszyński między innymi pisze: „Zachęcają nas do tego... liczne przychylnie recenzje, nie wyłączając i najdłuższej z „Myśli Wolnej”, (z VII i VIII 1923 str. 10) wedle której są one „ciekawą książką”, napełniającą katolików otuchą i mogącą napełnić „nas, wolnomyślicieli grozą i przerażeniem, gdyby nie głęboka wiara, że ludzkość dąży wciąż naprzód i że w końcu mroki sektantyzmu muszą zniknąć przed promieniami czystej, bezinteresownej wiedzy i że oświata dotrze kiedyś i do tych warstw, na których ciemnocie wszelkie wojujące kościoły budują swoje gmachy władzy doczesnej” (str. 12).

Cytatę tę opatrzył ks. autor paru wtrąconymi pytajnikami, których nie powtarzamy.

Ze szanowny ks. Cieszyński powołuje się na nasz rozbiór Jego książki, jest nam to bardzo przyjemne; niemniej zrozumiałem jest dla nas, że obawa wolnomyślicieli jest piękną reklamką dla katolickich czytelników; nie możemy jednak nie zwrócić uwagi sz. autorowi, że cytata jest... nieco zmieniona. Mianowicie — „Myśl Wolna” pisała, jak następuje:

„...szanowny autor... wierzy, że „katolicyzm polski w przyszłości nabierze rozmachu i stanie się zwycięską potęgą nietylko w narodzie, ale w całej wschodniej Europie”. Nic dziwnego, że to, co ks. Cieszyńskiego napawa taką otuchą, nas, wolnomyślicieli, napełniłoby grozą i przerażeniem i t. d...”.

Nie książka więc ks. Cieszyńskiego napełniła nas grozą, bo tacy znów lękliwi wolnomyśliciele nie są, ale dążenie katolicyzmu do objęcia całego narodu polskiego i całej wschodniej Europy.

Przykro nam bardzo, że musimy zwrócić uwagę szan. ks.

Cieszyńskiego, że dla reklamki swego dzieła, przekreślił nieco cytataę, ale — księże dobrodzieju — amicus Plato, sed magis amica veritas.

Cieszyński „Poseł Ewangelicki“ w numerze 43 z dn. 10 listopada umieścił następujące sprawozdanie o wypadkach krakowskich:

W połączeniu ze strajkiem maszynistów kolejowych miał się w poniedziałek, dnia 5 listopada, rozpocząć w Polsce strajk powszechny, zainscenizowany przez komunistów. Strajk ten się jednak nie udał. Z wyjątkiem Krakowa we wszystkich innych większych centrach pracy robotnicy zjawili się do pracy.

Zato w Krakowie przyszło do wielkich rozruchów. Już w poniedziałek przyszło na Rynku krakowskim i przed Domem robotniczym do formalnej bitwy między policją i demonstrantami, wśród których przedewszystkiem pełno było żydów. We wtorek przed południem miał się w Domu robotniczym odbyć wielki wiec. Przybywający na wiec przerwali kordon policji, utrzymującej porządek, a kiedy widzieli, że policja nie robi użytku z broni palnej, tłum zaczął ją rozbrajać. Wezwano na pomoc kawalerję. Tłum zaczął do niej strzelać na ulicy i z okien i zdziesiątkował ją; jakiś młody żyd strzelił z tyłu do rotmistrza Bochenka i zabił go na miejscu. Porucznik Niesiołkowski i kilkadziesiąciu żołnierzy poległo albo są ciężko ranni“.

Gdyby to było wydrukowane w „Dwugroszówce“, czy innym bogoojczyźnianym piśmie, nie zwrócilibyśmy na to nawet uwagi. Ale „Poseł Ewangelicki“, kościelne pismo zboru augsburskiego, głoszące ciągle o prawdzie i miłości bliźniego, nie powinnyby uświadamiać swoich czytelników tak po żydowsku — wykrętnie i po katolicku — nienawistnie. Zaburzenia w Krakowie — komuniści — żydzi — gdzie Rzym, gdzie Krym — gdzie karczmy babińskie? Radzimy szczerze „Posłowi Ewangelickiemu“ zmienić swego korespondenta krakowskiego.

Kler katolicki w Polsce przygotowuje się do stoczenia wulgarnej bitwy o konkordat. Przygotowuje się w ten sposób, że usiłuje ludowi polskiemu wrazić pojęcie, że Rzymowi wolno wszystko, a bez Rzymu nie wolno robić nic. Rzym jest jedynym obrońcą Boga na ziemi i jedynym prawodawcą w niebie. A naturalnie — i jedyną ostoją moralności i patriotyzmu w Polsce.

Niedawno pisaliśmy o tem, jak biskup Sapieha zabronił duchowieństwu brać udział w obchodzie Komisji Edukacyjnej; teraz przybywa nowy kwiatek: tenże biskup polecił duchowieństwu odmówić udziału w pogrzebie ofiar zaburzeń krakowskich, rozumie się — robotników, bo żołnierzy chowano z całą pompą kościelną. Widocznie kościół katolicki rozumie jednak różnicę pomiędzy żołnierzem, zabitym przez robotnika, a robotnikiem, zabitym przez żołnierza. A nam się zdawało, że i za życia między nimi różnica jest tylko zewnętrzna, a po śmierci — to chyba już jej niema wcale! Jacyśmy, doprawdy, naiwni wobec polityko-teologów rzymskich!

Ta teologo-polityka katolicka przypomina nam słynne wynurzenia kardynała Merry del Val, sekretarza stanu papieża Piusa X, w obecności ambasadora Ritтера w 1914 roku. Watykan już wtedy wiedział o ultimatum, wystosowanym przez Austrię do Serbji, i kardynał oświadczył urzędowo ambasadorowi, że Austria miała najzupełniejszą słusność, dając tak surową lekcję Serbji i przeciwstawiając się w ten sposób **groźnemu dla Rzymu pochodowi sławizmu**. Wtedy, coprawda, państwa słowiańskie, jak Rosja i Serbja, były schizmatyckie, a duch święty nie zdążył jeszcze zawiadomić papieża, że katolicka Polska stanie się państwem niezależnym, a apostołska Austria rozpadnie się na kawałki; gdyby kardynał to przewidział, możeby był ostrożniejszy w swoich słowach.

Chociaż — kto wie? Rzym się zawsze tak mało liczył z Polską, a tak wiele dbał o siebie, i tak był i jest pewnym ślepego posłuszeństwa ze strony swych słowiańskich owieczek, że pewne „decorum” zachowuje tylko wobec nieco sceptyczniejszych ludów Europy, wobec francuzów czy niemców, ale Polska? To przecież zupełnie jak Hiszpanja! Co się tu ceremonjować? Słuchać i basta — a jak nie, to wam urządzimy taką inkwizycję, że aż święty Loyola z radości zmartwychwstanie.

Jużeśmy kilkakrotnie pisali o hotentockiej kulturze „Wolnego Chrześcijanina”, organu zjednoczenia ewangelicznych chrześcijan i baptystów w Polsce i nie wracalibyśmy do tej sprawy, gdyby nie to, że uważamy baptystów za jedną z bardziej oświeconych sekt chrześcijańskich, i gdyby nie to, że drugie pismo baptystów, „Nowe Drogi”, dowodzi wysokim poziomem swej formy i treści, że przecież nie brak im ludzi, którzy by potrafili i ten urzędowy organ odpowiednio poprowadzić.

Tymczasem „Wolny Chrześcijanin” drukuje takie horrendalne rzeczy, że nie powstydział by ich się najciemniejszy mnich z XIII wieku.

Oto w Nr. 10, ks. J. Adamczyk (jakim prawem — ksiądz? Wszak baptyści nie uznają święceń kapłańskich — mają tylko kaznodziejów!) pomieszcza dłuższy artykuł pod wspaniałym nagłówkiem: Dlaczego djabeł najwięcej nienawidzi i atakuje z Pism świętych pierwszą księgę Mojżesza? A niech kto nie sądzi, że djabeł ks. Adamczyka — to jakaś przenośnia, obrazowe wyrażenie, symbol. Gdzie tam! To jest prawdziwy djabeł, taki wróg Pana Boga, i wróg człowieka, taki co to „kłamie ludziom i zmusza ich do pisania, że piekła niema, bo Bóg jako miłość, nie mógłby ludzi w piekle wiecznie męczyć”. — „Ale Słowo Boże tłumaczy ks. Adamczyk, powiada nam, że Bóg jest sprawiedliwy i niezmienny. Co powie, to wykona, czy to się podoba djabłu i jego agentom lub nie”.

Dalej ks. Adamczyk (dlaczego—ksiądz?) poucza: „Nauka rzymskiego kościoła, adwentyzm, spirytyzm, russelizm, teozofja i inne, to wszystko wymysł szatana”. Niezły bigos — te, „i inne” są bardzo ciekawe.

W końcu apostrofa: „Czytelniku! Komu wierzysz? Bogu i Słowu Jego? Czy djabłu i agentom jego? Jeżeli wierzysz więcej kłamstwu djabelskiemu, aniżeli Słowu Bożemu, przyjdzie raz chwila, że gdy djabeł zostanie wrzucony do „przepaści” (Ob. 20. 3), „w jezioro ognia i siarki” (Ob. 20. 10) znajdziesz się i ty tam. (Ob. 21. 8)”.

Takie oto nauki podaje baptystom i ewangelicznym chrześcijanom ks. J. Adamczyk, który zresztą niewiedomo dlaczego tytułuje się księdzem.

A co na to Komitet Zjednoczenia Ewang. Chrześcijan i Baptystów, na którego czele, jak czytamy, stoi br. K.W. Strzelec, redaktor i wydawca „Nowych Dróg”?

Książki nadesłane.

Kalendarz Spółdzielczy na rok 1924, wyd. Związku Polsk. Stow. Spożywców. Warszawa, 1924, 17 × 24 cm., str. 196.

Kieszonkowy Kalendarz Spółdzielczy na rok 1924, wyd. jak wyżej, 10 × 15 cm., str. 224.

Obydwa kalendarze ułożone bardzo starannie i umiejętnie; szczególnie kalendarz kieszonkowy odznacza się doborem wiadomości, niezbędnych każdemu nawet nie-spółdzielcy.

Jan Wolski: O zjednoczeniu ruchu spółdzielczego w Polsce, wyd. jak wyżej. Warszawa, 1923, 12 × 17 cm., str. 48.

Enel: Ofiara, wyd. księg. „Dobra Książka”. Warszawa, 1923, 15 × 22 cm., str. 30.

Nowa szkoła żydowska i jej położenie w Państwie Polskim. Wyd. „Szkoła i Życie”. Warszawa, 1923, 14 × 19 cm., str. 16.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Ob. S. Szczepanik, Lowell, Mass. Stany Zjednoczone: List Wasz otrzymaliśmy, za wyrażone uczucia jesteśmy szczerze wdzięczni. Pozdrowienie!

Ob. ob. T. Mucha i K. Galkiewicz, Łódź: Za list, pełen młodzieńczego zapału, bardzo dziękujemy. Czy należycie do Łódzkiego Koła naszego stowarzyszenia? Zapotrzebowanie Wasze przekazałismy administracji.

Ob. Bogdanowicz, Bodzentyn: Nadesłane nam łaskawie dokumenty zużytkowaliśmy częściowo — i dziękujemy. Jeśli będziecie mieli jakieś nowe wiadomości w tej sprawie, zechciejcie nas powiadomić. Pozdrowienie!

Ob D. E., Częstochowa: Sprawa składania przysięgi w kadrach wojskowych nie została widocznie jeszcze załatwiona oficjalnie, gdyż mamy wieści pewne, że w niektórych pułkach zwalniano od niej poborowych, którzy podawali się za bezwyznaniowców, w innych natomiast odmawiającym przysięgi grożono represjami, czasem bardzo surowemi. Uważamy, że obowiązkiem każdego bezwyznaniowca jest złożenie w danym wypadku zeznania o nienależeniu do żadnej gminy wyznaniowej, co logicznie pociągnąć by powinno za sobą zwolnienie od przysięgi, którą zastępuje w zupełności uroczyste przyrzeczenie, jak to się dzieje w sądach. Ustąpić przed brutalną siłą — nie jest wstydem, ale wstydem byłoby ukrywanie swych przekonań.

Ob. I. B., Aleksandrów Kujawski: „Myśl Wolna” nie jest pismem literackim i poematów lirycznych nie pomieszcza. Jeśli Wam chodzi o nasze zdanie — jestto rzecz bardzo jeszcze słaba.

Ob. J. F., Rzeszów: Do naszego pisma nie nadaje się.

Na rachunek prenumeraty kwartalnej przyjmuje się Mk. 360.000.— Cena numeru Mk. 120000.— Prenumeratorzy nowi, lub ci, którzy nie wpłacili dotychczas zaliczki, płacą za wszystkie dotychczasowe numery po Mk. 120000.— Prenumerata za granicą o 100% drożej, w Stanach Zjednoczonych — 2 dolary rocznie.

Konto czek. w P. K. O. Nr. 4470,

Redakcja: Warszawa, Poznańska 14 m. 19. tel. 126-55.

Administracja: Warszawa, Królewska 16, tel. 118-14.

Redakcja czynna w poniedziałki i czwar*ki od 6—8 wiecz.

Administracja — codziennie od 9—4 w poniedziałki i czwartki — do 7 wiecz. w soboty od 9 do 1-ej.

Redaktor: JÓZEF LANDAU.

Wydawca i redaktor odpow. w imieniu Stow. Wolnom. Polskich D. JABŁOŃSKI

Tłoczono w drukarni R. Olesiński, W. Merkel i S-ka, ul. Chłodna № 37

Administracja posiada na składzie następujące dzieła:

Ignacy Radliński: Dwa dokumenty ludzkości	1.—
— Na przełomie dziejowym	1.50
— Spinoza	3.—
— Dzieje 3-ch osób w jednym Bogu	3.—
Antoni Szech: Katolicyzm a polskość	—60
— Być albo nie być	—30
J. Baudouin de Courtenay: W „Kwestji żydowskiej”	—75
— Tolerancja. Równouprawnienie	—70
— Kwestja żydowska w Państwie Polskiem	1.—
Romuald Minkiewicz: „Lucjan”, dramat współczesny i przy- szłych pokoleń (5 aktów i prolog)	2.—
— „Królewna Morza”, baśń dramatyczna w 4 aktach	1.60
— „Tryumf”, Scherzo w 4 aktach	1.80
— „Nad morzem mojem”, księga tęsknoty (poezje)	2.40
— Listy miłosne i pieśni	3.—
Józef Krajewski: Na progu poznania	—50
— Pod pieczęcią milczenia	—60
Józef Landau: Szkice przeciwwynaniowe	1.25
Jan Hempel: Ewangelje, ich powstanie i znaczenie	—90
R. Lilientalowa: Precz z barbarzyństwem	—10
„Wiara Twórcza” Komplet 4-ch n-ów	—50
Karol Kautsky: Pochodzenie chrześcijaństwa	5.50
Fr. Młot: „Worek judaszów” III wydanie	1.—
C. Wrocki: „W imię krzyża” (Rys dziejów inkwizycji)	1.—

Ceny w jednostkach zasadniczych. Mnożnik Związku Polskich Księgarzy Wydawców. Od dnia 3 Grudnia r. b. mnożnik 300.000. aż do odwołania przez tenże Związek.

Wysyłka za zaliczeniem pocztowem.

Wszelkie przesyłki polecane i pieniężne prosimy adresować wyłącznie do Administracji „Myśli Wolnej”, ul. Królewska 16 — Warszawa.

Konto czek. w P. K. O. Nr. 44-70.

Administracja posiada na składzie w niewielkiej już ilości komplety „Myśli Wolnej” z roku 1922 Komplet, złożony z 7 numerów, wysyłamy na żądanie za zaliczeniem pocztowem w wysokości Mk. 700.000